

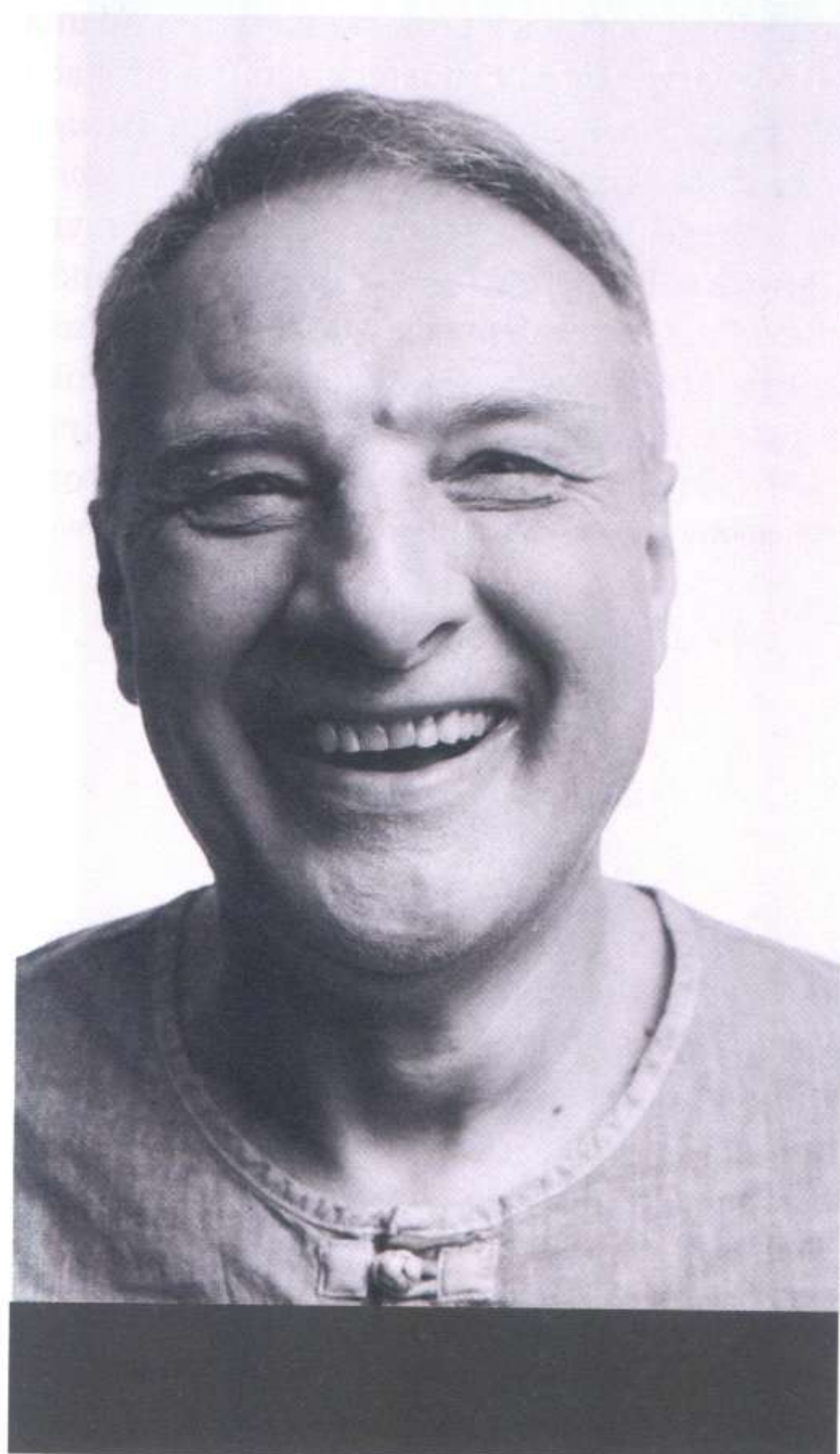
SKONTRYZM. Wspomnienie o Marcinie Błażewiczu (1953–2021)

✎ Ignacy Zalewski

W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych w programie II Międzynarodowego Forum Nowej Muzyki Marcin Błażewicz, organizator tego festiwalu, wyłożył zasady „skontryzmu”, podejścia do estetyki muzyki, które było mu wówczas bliskie. Polegało ono na zderzaniu (od utworu Góreckiego *Scontri*, czyli „zderzenia”) różnych odległych od siebie stylistycznie fragmentów muzycznych, na podobieństwo ówczesnego (a także pewnie i dzisiejszego) świata, w którym różne, często nieprzystające elementy współlistnieją, tworząc dziwny, zaskakujący niekiedy krajobraz późnej nowoczesności.

Mimo że od samego skontryzmu szybko odszedł jako kompozytor, mam wrażenie, że ta intuicja dotycząca rzeczywistości towarzyszyła mu do końca. Nasycił ją pogłębionym namysłem nad filozofią, szczególnie filozofią buddyjską, ze szczególnym upodobaniem do logiki paradoksu buddyzmu zen.

Sam Marcin był człowiekiem pełnym sprzeczności, zderzeń i paradoksów. Szybki, ognisty. W muzyce niekiedy wręcz agresywny – to z jednej strony. Z drugiej – zamyślony, dziecięcy, wrażliwy, zanurzony w pochłanianie pasjami książki. Z jednej strony zdecydowanie niewierzący, odrzucał religię, szczególnie w jej



zinstytucjonalizowanej postaci. Z drugiej – nie ustawał w poszukiwaniach metafizycznych, zafascynowany buddyjską doktryną o karmie, odrodzeniu. A także naukowymi dociekaniami dotyczącymi *near-death experience*, fizyką i neuronaukami. Ostry w sądach, nieunikający sporów, często lubiący szokować. Na rzeczach i zjawiskach, które mu się nie podobały, nie zostawiał suchej nitki.

Ciepły, zabawny, bezinteresowny. Każdego dnia w mediach społecznościowych, w SMS-ach,

w rozmowach telefonicznych przekonuję się, jak wielkie było grono ludzi, którym na różne sposoby pomógł – jako człowiek, pedagog UMFC, skarbnik ZAiKS. Licznym osobom pomagał w ciszy, jak mieszkańcom mazowieckiej wioski na skraju lasu, w której w ostatnich latach urządził sobie kompozytorską samotnię. Przyjmował pod swój dach bezdomne, chore zwierzęta, które dokarmił i którymi się opiekował.

Marcin Błażewicz łączył w sobie często skrajne postawy. Mawiał, że jego twórczość muzyczna jest próbą „rozprawy z cieniem”, rozumianym po jungowsku. Był twórcą świadomym tego, co, jak i dlaczego pisze. A to dlatego, że przede wszystkim był świadomym człowiekiem. Znającym i swoje blaski, i swoje cienie.

Ja zapamiętuję Marcina jako blask – tak jasny, że aż gorący. Tak silny, że oślepiający. Ale także jako blask rozciągający mnóstwo ciepła. Zapamiętuję Marcina jako jedynego w swoim rodzaju człowieka, który ogromną wiedzę kompozytorską i filozoficzną umiał przekazać. Człowieka z krwi i kości. Który potrafił się dzielić. Potrafił słuchać. Potrafił być, mimo że właśnie to „bycie” (a także czas, jak w jednym z jego ulubionych traktatów Heideggera) w ostatnich latach sprawiało mu jakby mniej satysfakcji. Rodziło ból, także ten egzystencjalny, któremu pasja i ogień zdawały się niekiedy ustępować.

Ta pasja jednak, ten ogień, życiowy i twórczy, moc oddziaływania i ten szczególny magnetyzm Marcina Błażewicza pozostają z nami w jego dziełach. Zapisują się już na zawsze w historii muzyki jako wieloaspektowy sposób widzenia kondycji człowieka, problematyki psychologicznej, filozoficznej, eschatologicznej ujętej w dźwięk. A w sercach bliskich mu ludzi, obok wdzięczności, wspomnień oraz obrazu jego żywego spojrzenia i szelmowskiego uśmiechu, zostaje pustka, której nie da się zapełnić.

Żegnaj, Przyjacielu.

Czarna wiosna

redakcja #

W kwietniu pożegnaliśmy nie tylko Marcina Błażewicza. Tegoroczna wiosna to bardzo smutny czas dla muzyki. Pod koniec marca zmarł Antoni Gref, dyrygent, organista, kompozytor, wieloletni wykładowca poznańskiej Akademii Muzycznej oraz artysta Teatru Wielkiego w Poznaniu. Miał 79 lat. „Żegnamy znakomitego, pełnego pasji artystę, doświadczonego muzyka, który z sympatią, cierpliwością i ogromną życzliwością przez dziesięciolecia dzielił się ze studentami swą wiedzą”, piszą władze poznańskiej uczelni. „Śmierć Antoniego Grefa to kolejna ogromna strata dla poznańskiej kultury, a przede wszystkim dla życia muzycznego miasta”, czytamy na stronie Teatru Wielkiego.

Kilka dni później pojawiła się informacja o śmierci Ryszarda Zimaka, wieloletniego prodziekana i dziekana Wydziału Edukacji Muzycznej, prorektora ds. nauki i dydaktyki, rektora najpierw Akademii Muzycznej, a po przekształceniu, Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie. Przez dwie dekady prowadził Chór Mieszany Akademii, założył też uczelniany Chór Kameralny. Ryszard Zimak specjalizował się w dyrygenturze chóralnej i wykonawstwie —